

Stanisław
Neumert

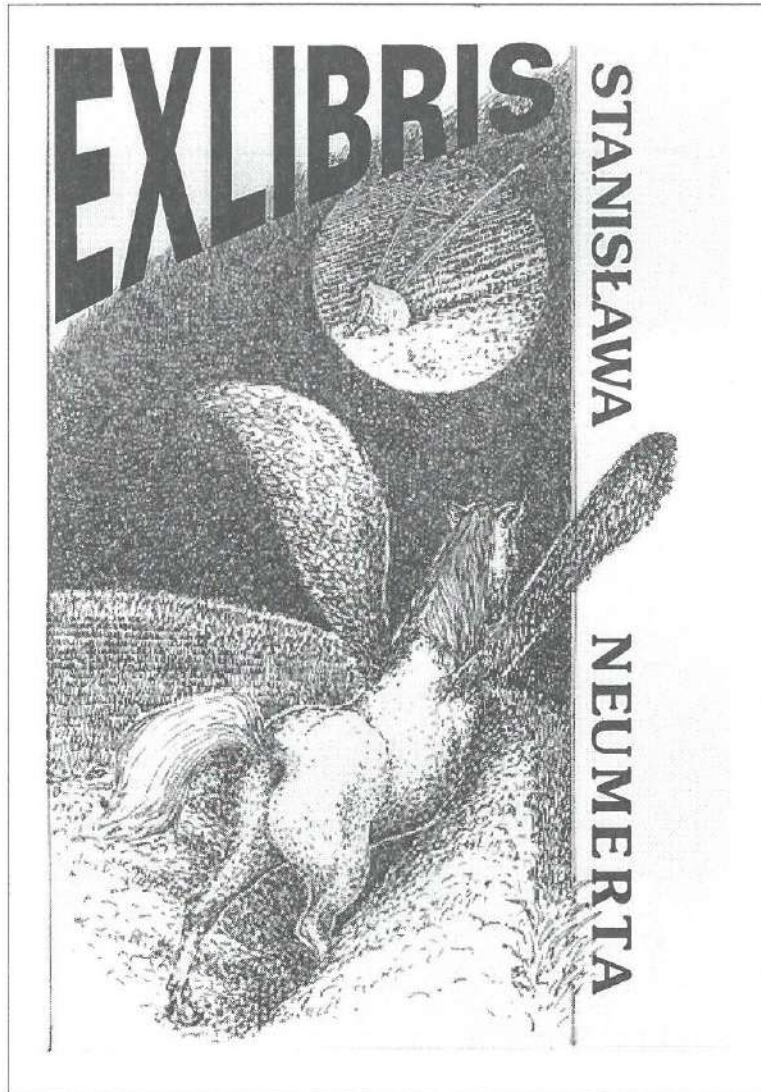
Chitynowy

P Y Ł

Nadnoteckie
Echa



2000



Stanisław Neumert urodził się 5 maja 1939 r. w Gulczu.

Studiował polonistykę na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Debiutował w roku 1960. Wiersze swoje ogłaszał m.in. w „Poezji”, „Tygodniku Kulturalnym”, „Nurcie” i innych pismach ogólnopolskich.

Wydał tomy poezji:

Miejsce zmagani (1965), Imię (1965), Ujście (1966), Źródła ziemi (1972), Ku wzgórzom światła (1977), Popychane wiatrem (wybór, 1980), Pora odlotów (1989), Koń śpiewa rozwianą grzywą (1992) i Wszędzie jesteśmy w wierszach (1994).

W roku 1978 został laureatem Nagrody im. Stanisława Piętaka.

Wychowani na resztkach starego świata
w rozgardiaszu porzuconych myśli
znośzonych skarpetek
zwietrzałych ideologii
emocji
które jak uszkodzone latawce
spadły u naszych stóp.
Rzadko dopisuje nam szczęście
gdy szukamy swej twarzy
ciągle wracając z luster
z palcem na ustach.

W przezroczystym czasie
pełnym szmeru podeszw
zdziwienia kwiatów
i obłych wierszy
- porzuconych mateczników wiatru
ze swym losem gramy na zwłokę.
Otaczający nas świat robi wrażenie sztucznego
- przy pierwszej lepszej okazji
powróci do swej naturalnej formy.
Muzyka na cały głos

z wielkiego domu niezamieszkałej nocy
poraża nas lękiem
gdy uczepteni ziemi odpływamy wstecz
każdą wyblakłą ze zdarzeń
plamą światła
każdym widnokretem
- makowym ziarnem
zagubionym w wielkich przestrzeniach pamięci.
A my dalej
o każdą zmarszczkę na swej twarzy
rzucamy kości.

Rozbujani na linach
w zbliżającym się gwałtownie
oku śmierci
uchwyceni wioseł swych myśli
w tunelach światła
między nami a Bogiem
- by zdążyć siebie zobaczyć.
Pijemy herbatę
rozmawiamy
schodzimy z rusztowań swych wierszy
ściskamy dłonie przyjaciół
słuchamy muzyki
tysiąca światów.

Łokcie łydki i plecy
przedłużone protezami stołów
foteli i łóżek

Oczy uszy i język uzbrojone
w coraz to wymyślniejszą broń
wzbijając tumany osiadłych myśli
w labiryntach czasu

wciąż nie mogą wytropić
i zamknąć w klatce ze zdań
śpiewu skowronka
na wątej smudze świtu.

Gdy w wierszach
z orbit znaczeń
wypadają słowa
stając się okiem spadającej gwiazdy
mkną do nikąd
naszego wnętrza
które za każdym razem
jest całym światem.

Odpywają wstecz strzeliste katedry
w nich róże w ogrodach witraży
wstrzymany oddech noża
o świcie.
Maleje i znika
kolejna zmiana warty
jak błyszczące guziki
w barłogu ulic zagubionego króla.
Odlewy wiatru wspięte na palcach
gdzie biwakuje wieczór
lżejsze od beztroskiego uśmiechu
unoszą się nie wiadomo gdzie
i nie wiadomo dokąd.
W nich zabiegani chłopcy
ostrym krzemieniem
odcinają ogony schwytanym jaszczurkom
i stare kobiety
kurczące się z dnia na dzień
niczym nieskrępowane
ulatują w przeszłość.

Nie sposób przejść obok i nie zapalić
zapalki w oku
nie zaćmić się
słonawym smakiem
nie sposób przejść obok by nie przystanąć
w cieniu Nekar
na ścieżce wśród winnic
na południowych stokach
wybiegających ku słońcu.
By nie po kolana
zanurzony w mroku
gwiazdy naginać z całą gałęzią nocy
nad Marbach

*Stuttgart wrzesień 1998 r.
Johannesowi Paethenowi*

Zawsze obok
miłości nienawiści
radości i bólu wyrównującego szale
śpiewu co nigdy nie przekwita
w sklepieniach szarych komórek.
Zawsze obok z zapaloną świecą
na wąskiej kładce nocy
w tunelach światła
pokoju ze szkła.
W zdziwieniu że tak nagle
ustaje zgiełk realnego świata.

- Odstąpię,,
Kolorowe ptaki, zimę
krawędzie rozpaczy które potem można
wymienić
za naparstek szczęścia.
Dom cały
zamknięty w kontynentach
gdzie od czasu do czasu słyhać głośne rozmowy.
Las po brzegi głuchy od nawoływań słońca
rzeki wypłątane ze źródeł
jak gdyby ktoś góry powiązał z morzem.
Czasu wielkie zasy
gdzie utknęli podróżni.
Błaszany księżyc na mieliznach nocy.
Gwiazd parę garści
kiełkujących światłem
i charty dali zerwane ze smyczy gdy nastaje wieczór.
- Ogłoszenia płowieją w szufladach
zalegają na strychach
szeleszczą jak małe słońca
w transfuzji z ogniem.
Czasem ktoś odwijając skibki ze smalcem
zauważy na chlebie odcisnięte zdanie.

Nasłuchujemy
jak ryby naszych myśli
ocierają się o ścianki
w akwariach widnokręgów
jak wieko nocy
zatrząskuje się
spadającą gwiazdą.
Kołujemy jak ptaki
nad zrzuconym gniazdem
swego dzieciństwa.
Mamy coraz mniej czasu
i mniej światła.
Oszroniałe drzewa
rozwiane kokardki pocałunków
plusk liści zanurzonych
w letniej nocy
odpływają wstecz.
Słowa stają się
coraz bardziej okrutne
umierają w skrzydłach.

Oto starcy bezzębni
coraz bardziej skutecznie
zatrzymują świat.
Ptak w bezdennym powietrzu
i koń co cwałował zawisł
z głową po drugiej stronie wzgórza.
Wiatr dotknął liści
i tak pozostał.
Aktorzy zamarli w pół geście
na bezkresnym wydmuchyisku
z pułapek dwuznaczności
uwalniając słowa.

umarły przed przeszło stu laty
błądzą wciąż jeszcze
po tych wdowich stronach
gdzie legną się kroki
- w stuletniej szlafmocy
przykucnę czasem
pod zielonym liściem
lub w bruździe głębokiej
 utnę sobie drzemkę
praca moja ciężka
- wielkie koła ziemi
opatruję smarem
- czasem tylko z dala
gdy już pojazd rusza
ktoś żegna chusteczką

Słońce
z gałęzi mrozu
runęło w śnieg
tocząc się z wiatru drugą połową
w noc wklęsłą jak lustro
oburącz ściętą
bolącą głową ciszy.

Do rozsypanych kruszyn
zapalonych świateł
ze spadzistych dachów
zleciały się gwiazdy
nisko nad stołem
przyniosły w dziobach
odrobinę nadziei
gałązkę zieloną
I to jest właśnie
Noc Bożego Narodzenia.

W sklepieniach uszu
strojone struny
symfonii na dzwonki
i dawno temu
zagubione skrzypce.
I to jest właśnie
Noc Bożego Narodzenia.

Gdy Twoje oczy
usta
strzeliste kaplice dłoni
stają się czytelnym przykładem
z obcego języka.
I to jest właśnie
Noc Bożego Narodzenia.

Są w nas miejsca
po nocach bezsennych
łuszczących się ciszą
dniami otwartych
wielkim przeciągiem światła
na oścież
po wzgórzach skąd źródła
podnoszą swe głowy
po widnokręgach gdzie łyzy
spopielwały do cna.
Są w nas miejsca
gdzie stawiamy
jak wieczorną lampę
osłaniając w dłoniach
szept
Polska.

Świat jest ciszą pytań
muszlą pełną morza
odkrytą w naszych dłoniach
gdy oddaliśmy się lekkomyślnie
na niebezpieczną odległość
od własnych uszu
gdy przepadamy przez sito swych oczu
jak martwe ziarnko
by stać się domem pełnym nazw
otwieranym bezgłośnie
skrzydłami ptaków
- pulsującym sercem
pod powieką nocy.

Spowici w barokowe wnętrza
poduszek i pierzyn
w tej nadzwyczajnej atmosferze
pytań o zdrowie
i o dalszy rozwój pogody
z nieodpartym uczuciem
środka świata
który nieprzypadkowo znalazł się
pod naszymi stopami.
- Idziemy do szkoły
piszemy wypracowania
zrywamy złote gruszki
dojrzałe w gabinetach historyków
- zakładamy pułapki na muchy.

W oku i uchu pszczelarza
jak u siebie
mieszka pszczoła
- Za plaster miodu zebrany o świcie
- za chitynowy pył
zdarty wiatrem
z pracowitych skrzydeł
by łąkę i las, koniczynę na miedzy
przez płaskie gardło uli
jak ucho igielne
przewlec.
Za sążnisty wieczór
pełen ciepła parowanego urobku
i dętej muzyki
na wyloty uli.
Za małą wyspę lata
zatopioną w herbacie
gdy za oknem zima kolcami mrozu
przeszywa drzewa.

Jesienny wiatr
odrywa z gałęzi ubrane w kolory
obumarłe liście
i drzewo zapomina o nich.
Rzeki ułożone na wznak
sopranem źródeł zniewalają noc
by w basie ujścia
stać się niepamięcią morza.
Lato tak wiotkie w biodrach
i jesień otyła odchodzą
malejąc w polnych drogach.
A nasze serca
uczają się przyjaźni.

*Pamięci
Stanisława Czernika*

W widnokręgach rozciągających się
między makowym ziarnem
zagubionym w przestrzeniach naszego mózgu
a szeroko otwartymi bramami słońca
pełnymi tokującego ptactwa
trzymieli próbujących na próżno
podźwignąć chylący się dzień
i podmuchów barw
gdy odsłaniamy twarze
porzucamy bezużyteczne
Kainowe żelazo naszych dłoni.

Miłość jest księżycową nocą
która nie może się pomieścić w sercu.
Przekładem z obcego języka
Twoich oczu, promienia twarzy
kolan uwięzionych w mroku.
Żrebięciem
na łące naszej radości.

Człowiek rodzi się mały
wobec świata
potem wzrasta
i staje się równą jego częścią
różne do zwady z nim znajduje powody
w świecie baśni
przygody
w graniu na zwłokę
o lepsze jutro.
A świat się kurczy maleje
- znika w oddali.
I zostaje człowiek
sam z sobą
banita -
na bezludnej wyspie czasu
paląc ogniska.

Szumia otwory nawiewne
rury grzewcze
i niedomknięte spusty klozetów
jak pocisk międzykontynentalny
mkną przez niekończące się szeregi
narażonych na zapomnienie słów.
Za oknami
na każdej kolejnej stacji
mroźna noc zgięta w pół
stroi skrzypce
i rozbierana z oddechów
odchodzi brzegiem srebrnego snu
za połę zwisającego płaszcza.

Tu każdy ze światów
wypełniony po brzegi
samotnie spada bańką mydlaną
wzruszeniem ramion

w szczelinę po słońcu.

- Nie mieliśmy dość szczęścia

- nie mieliśmy dość czasu.

W pozótkłych pościelach
starych fotografii

zapadli w sen.

- Szczęśliwi

gdy nie zagubli

świateł swego domu.

W zakamarkach wierszy
jak szufladach
poeta pochował kawałki
stłuczonego lustra
- to była prawda
upuszczona
przez roztargnionego Boga
gdy siódmego dnia
odpoczywał.

Skrzypią wrota zimy
mrok puka do okien
płoną szczapy
i psy dopadły za wsią
broczący księżyc.
Czerwienieją głogi
i sarna przemyka
zaoranym polem.
Mróz zapala lampę
kolejnej gwiazdy
na pokojach nocy.

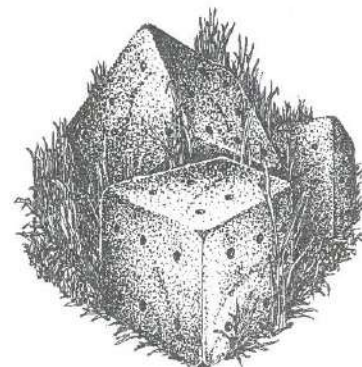
Uwięzieni w czasie
ograniczeni zmysłami trzepoczemy się
- motyle schwywane na zielonych łąkach
gwiazdzistej nocy.
Ciągłe wzdłuż murów ziemi
horyzontu zmysłów
odżywiani obficie bajkami
dobrym przykładem
doktrynami filozoficznymi
prognozami pogody
ciężko strawną statystyką gospodarczą.
A mimo to
gdy słyszymy - Jedzcie i pijcie
to Jest Ciało Moje i Krew Moja
i dalej - Kto pożywa Tego Chleba
żyć będzie na Wieki
chowamy się w cieniu
swych powiek.

Na szerokiej drodze jaką jest ziemia
wśród tylu śladów znikających
za każdym załamaniem czasu
zostawiamy odcisk swej stopy
nić pamięci rwącą się w mroku
w każdej rodzącej się komórce
wciąż na nowo
otwarty elementarz życia
wiersz - stopiony lodowiec
umierające ziarno piasku.
Rzucając na prędcę kładki swych myśli
kluczemy - w uściskach dłoni
wypalając pieczęcie naszej samotności
z pół drogi
powracamy do domów swego dzieciństwa
jak byśmy zapomnieli zabrać z sobą
plastikowych samochodzików
lalek o dużych niebieskich oczach
kochanych w zastępstwie
kolorowych klocków.
Jak mrówki usypujemy wielkie budowle
przyrządzamy pożywienie
chowamy się w muszlach swego ciała
gdy rój gwiazd zniecka spada na nas
wbijając w nasze Ja zimne żądła wszechświata.
W naszych twarzach kurczy się światło
tli się cisza to jest sen
- pierwsze zbratanie ze śmiercią.

Rzucamy kości
o każdy kolejny wschód słońca
za każdym razem
staje się
jak kamień porzucony na miedzy
małym księżycem ziemi
pełnym
głogów przydrożnych
czerwonych i cierpkich
ogników pełgających w zaoranym polu
szukających brodu przez mgłę
jesieni z płachtą wiatru
przez plecy
z światłami w oknach
toczącej się wielkim łukiem
po policzku nocy.

Niekończące się rzesze zakapturzonych
 Z pochodniami swych myśli
 szło przez kamienną bramę wiersza
 który jak oko spadającej gwiazdy
 trwał przez ułamek sekundy
 nim spowszedniał w słowach.

- I Z palcem w ustach - 5
- II Gra na zwłokę - 6
- III Koncert (na muszlę jednej nocy) - 7
 - IV Anatomia - 8
- V *** (Gdy w wierszach...) - 9
 - VI Stara Europa - 10
- VII Nie sposób przejść obok - 11
 - VIII Zawsze obok 12
- IX Ogłoszenia drobne - 13
 - X *** (Nasłuchujemy...) - 14
 - XI Pauza - 15
 - XII Groteska - 16
 - XIII Zima - 17
- XIV Noc Bożego Narodzenia - 18
- XV *** (Są w nas miejsca...) - 19
 - XVI Świat jest ciszą pytań - 20
- XVII *** (Spowici w barokowe wnętrza...) - 21
 - XVIII Pochwała pszczoły - 22
- XIX *** (Jesienny wiatr...) - 23
 - XX Wpleceni w warkocz czasu - 24
- XXI *** (Miłość jest księżycową nocą...) - 25
- XXII *** (Człowiek rodzi się mały...) - 26
 - XXIII Nocny ekspres zimą - 27
 - XXIV Cmentarze - 28
- XXV *** (W zakamarkach wierszy) - 29
 - XXVI Akwarela - 30
 - XXVII Wygnanie z raju - 31
 - XXVIII Obok ciszy - 32
 - XXIX Ciągłe rzucamy kości - 33
 - XXX *** (Niekończące się rzesze...) - 34



Copyright by Stanisław Neumert
Poems
Tadeusz Wyrwa - Krzyżański
Illustration + foto

Nadnoteckie Echa
ul. Kościuszki 60
64-700 Czarnków
tel. (067) 255 26 51

Redaktor
Tadeusz Wyrwa - Krzyżański

Printed in Poland
Zakład Graficzny „STS”
ul. Kościuszki 28
64-700 Czarnków
tel. (067) 255 27 74

Wydanie I
Wydano ze środków
Miejskiego Centrum Kultury
w Czarnkowie

Nakład: 888 egzemplarzy

ISBN 83 -90 12 43-3-5